

ZAPISKI FESTIWALOWE

Poniedziałek 8 maja

Jubileuszowa edycja festiwalu doczekała się specjalnej oprawy w postaci setek balonów w foyer Teatru Nowego. Balony ładne, ale do wejścia trzeba było się przebijając przez płataninę sznurków. Może to metafora splątanych narracji współczesnego teatru?

III rok łódzkiej Szkoły Filmowej wystąpił zgodnie z tradycją z krótkim programem taneczno-wokalno-kabaretowym. W tym roku było musicalowo i pastiszowo. Świetnie tańczyły dziewczyny, chłopcy poruszali się mniej pewnie (a może to mój subiektywny gust). Bardzo dowcipna była parodia piosenki disco polo (o tyle na czasie, że gatunek ten wraca do łask, podobno nawet na juwenaliach polskich uczelni jest coraz częściej obecny). Śmieszył też kolaż złożony z uwag profesorów - zapewne z cytatów z zajęć. Na koniec pieśń *Festiwal startuje, Łódź wita was!* i już można było witać oficjeli, sponsorów i patronów. Studenci-konferansjerzy z pewnym wysiłkiem wymieniali te wszystkie nazwiska i tytuły z pamięci (brawo). Prawie im się udało nie pomylić.

A potem przemówił rektor Mariusz Grzegorzek, którego festiwalowa publiczność powitała gromkimi oklaskami, a nawet okrzykami wyrażającymi aplauz. Sympatii ze strony studentów Mariuszowi Grzegorzekowi mógłby pozazdrościć niejeden rektor czy dy-rektor. Rektor zapowiedział, że przemówi krótko i - w odróżnieniu od wielu mówców, którzy tylko obiecują - dotrzymał słowa. Powiedział, że jako bywalec wielu festiwali, w których bierze udział zarówno jako reżyser, jak i widz czy juror, może zapewnić o wyjątkowości łódzkiej imprezy. Nie ma drugiego takiego festiwalu, z taką energią. Z tej energii rodzi się poczucie, że jesteśmy razem. *Nie dajmy się podzielić* - zaapelował rektor. Wspomniał też o istotnym novum tegorocznej edycji - otóż po latach dyskusji udało się zaprosić także wydziały lalkarskie i taneczne z polskich uczelni. A więc nie tylko: Kraków, Łódź, Warszawa i Wrocław, ale też Bytom (Wydział Tańca) i Białystok (Wydział Lalkarski). To niewątpliwie słuszna decyzja. Podobnie jak pomysł, by większość spektakli grać na Dużej Scenie Teatru Nowego, dzięki czemu na widowni mieści się więcej publiczności.

A potem była już projekcja filmu Łukasza Barczyka *Soyer* - aktorskiego dyplomu filmowego. To kolejny dobry pomysł, realizowany od trzech lat w łódzkiej szkole. Pomysł dobry, gorzej z wykonaniem. Nie wiem, czy tylko ja tak mam, ale kolejne filmy dyplomowe podobają mi się coraz mniej. Coraz mniej studentów dostaje też okazję, by się w tych filmach pokazać. W *Soyerze* szansę dostała właściwie tylko trójka aktorów - mamy troje bohaterów i trzy poświęcone im części: Soyer (Maciej Musiałowski), jego siostra Małgośka (Marianna Zydek) i jej mąż Janek (Cezary Kołacz). Tytułowy bohater ma zainteresowania mistyczno-religijno-ekologiczne. Głoszone przez siebie prawdy z pasją wprowadza w życie, przez co uważany jest w rodzinie za wariata, potem za bożego szaleńca, idiotę rodem z powieści Dostojewskiego. Musiałowski ma talent do tworzenia przekonujących postaci odmieńców (rola w sztuce *Diabeł, który...*). Tragiczne losy brata zmieniają życiowe priorytety konsumpcyjnie zorientowanej siostry. A potem zmieniają też jej męża, przy czym związki przyczynowo-skutkowe są w kolejnych fazach filmu coraz mniej jasne. Trzecia część to właściwie osobna etiuda, zresztą przypominająca nieco etiudy studenckie. Jej dobrym punktem jest gra Cezarego Kołacza. Scenariusz miał być przez reżysera realizowany kilka lat temu, ale do nakręcenia filmu nie doszło. Mam wrażenie, że został teraz na chybicka przystosowany do potrzeb projektu. Problem zderzenia absolutnie szczerego człowieka religijnego ze współczesnym światem jest ciekawy i ważny, należałoby go jednak twórczo rozwinąć. Można nawet zgodzić się na groteskowość wynikającą z takiego zderzenia, ale niektóre sceny, a nawet całe wątki nic do sprawy nie wnoszą (wizyta Małgośki w szpitalu psychiatrycznym, scena z chorą psychicznie nimfomanką-lesbijką). Zbyt głośny, przesterowany dźwięk i przegadane dialogi dodatkowo rozbijają

opowieść. Ciekawe jest zakończenie filmu, którego nie mogę zdradzić, interesujące są też zdjęcia, zwłaszcza w najlepszej, pierwszej części filmu, ale pozostaje pewien niedosyt.

W programie pierwszego dnia była jeszcze impreza na dziedzińcu Szkoły Filmowej, ale aura trochę skomplikowała plany organizatorów. Gorące przekąski z grilla pozwoliły przetrzymać na dworze kilkanaście minut, z czasem prawie wszyscy przenieśli się do budynku. Najwytrwalsi mimo nadciągającego mrozu siedzieli na przygotowanych na dziedzińcu leżakach i zażarcie dyskutowali o sztuce (przetrwania?). Ja odbyłem ciekawą rozmowę z młodym aktorem (którego znałem z poprzedniej edycji festiwalu) na temat barber shopów i kosmetyków do pielęgnacji brody. Jego znana w całej Polsce broda wydawała mi się kwintesencją hipsterskiej mody i przedmiotem dumy, ale okazało się, że właściciel chętnie by ją zgolił, gdyby nie... kontrakt reklamowy.

Wtorek 9 maja

Nigdy nie byłem wielkim zwolennikiem piosenek Marii Peszek, ale spektakl warszawskich studentów zatytułowany *Pibloktoq* chyba przekonał mnie do tych ciekawych muzycznie utworów - wystarczy przypomnieć, że kompozytorami piosenek wykorzystanych w przedstawieniu byli m.in. Andrzej Smolik, Wojciech Waglewski, Fisz czy Emade. Wojciech Kościelniak, specjalista od tego typu widowisk, stworzył z tych 21 piosenek całość, w której śpiew i taniec uzupełniane są monologami opartymi o teksty znalezione w artykułach prasowych, na internetowych portalach czy w wielkiej literaturze (całość spójną w swej estetyce, ale nie pod względem przekazu).

Dziesiątka młodych aktorów sprawdza się pod względem wokalnym, a także w zbiorowych układach tanecznych, które towarzyszą piosenkom. Różnie natomiast bywa z zadaniami czysto aktorskimi. Znakomita jest improwizacja w wykonaniu Marty Wągrockiej, która jako doświadczona aktorka narzeka na reżyserów, organizację pracy, repertuar i wszystko dookoła. Tekst jest bardzo dowcipny (uwagi o metodach pracy poszczególnych reżyserów), intryguje też dopisywanymi za każdym razem aktualnościami. W Łodzi dostało się m.in. pokazanemu na festiwalu dzień wcześniej filmowi. Ale te przerywniki między piosenkami rażą też publicystyką, np. monologi panów grających uchodźcę czy księdza wygłaszającego kazanie przeciw homoseksualistom i in vitro. Kamil Studnicki grający uchodźcę potrafił przykryć tę papierowość tekstu (potępiającego nietolerancję) zabawnym naśladowaniem cudzoziemskiego akcentu, Piotr Kruszewski (bardzo dobry w roli samotnego ojca) niewiele zrobił, by rola księdza w jego wykonaniu była czymś więcej niż polemiką z ustawionym do ciosu przeciwnikiem. Większość tych przerywników można by bez straty pominąć, a już na pewno napisać (znaleźć) coś mądrzejszego. Czy naprawdę w Polsce dziewczyny siłą ciągną koleżankę do bram Kościoła? Nie sądzę, tak jak nie sądzę, by było to przyczyną depresji porównywanej do tytułowej hysterii arktycznej występującej u Eskimosów.

Pomiędzy piosenkami trzeba coś mówić - dla urozmaicenia, ale również by pokazać możliwości aktorskie dyplomantów. Pomysł, by były to teksty znalezione w sieci, nie jest chyba najszcześniejszy. Najciekawiej robi się, gdy tekst tworzy wobec piosenki kontrpunkt i gdy jest jednocześnie dobrą literaturą. Tak dzieje się w przypadku fragmentu z *Idioty* Fiodora Dostojewskiego.

Spośród dziesiątki młodych aktorów zapamiętałem sceniczną osobowość Dominiki Kachlik - to oprócz Wągrockiej moja faworytka. Przy okazji uwaga techniczna dotycząca nie tylko tego przedstawienia: program spektaklu wymienia występujących aktorów. Część postaci można łatwo zidentyfikować - Uchodźca, Aktorka, Samotny tata. Ale jak rozróżnić postaci nazwane Anka, Karolina czy Natalia, gdy prawie wszyscy występują w podobnych strojach? Strona teatru i festiwalowy folder podsuwają nam jedynie legitymacyjne zdjęcia, na których panie nie są zresztą podobne do siebie samych. W połączeniu z opisem w rodzaju: *Natala - Ewelina Bator* tworzy to

trudną do rozwikłania zagadkę. Czy zaproszeni na festiwal dyrektorzy teatrów są w stanie ją rozwikłać?

Po spektaklu zaczepiam ludzi w foyer. Szukam kogoś, kto nie jest gościem festiwalu, kto kupił bilet, by zobaczyć ciekawy spektakl. Chcę zapytać o wrażenia "zwykłego" widza. Andrzej Hibner często bywa nie tylko w łódzkich teatrach. Co sądzi o *Pibloktoq* studentów Akademii Teatralnej? *Sporo umieją, mają dobrą dykcję, widać dopilnowane przez opiekunów zadania aktorskie. Ogólne wrażenie jest bardzo pozytywne - ze sceny w stronę widzów wydobywa się fajna energia. Im po prostu chce się grać. Dlatego chce się ich oglądać.*

Środa 10 maja

Dzień zaczął się warsztatami z cyklu *Dramat w procesie rozwoju*, organizowanych wspólnie przez Szkołę Filmową oraz Agencję Dramatu i Teatru. Formuła zakłada wspólną pracę reżyserów, aktorów i autorów dramatu nad współczesnymi tekstami, performatywnie czytаныmi i wspólnie omawianymi na otwartych dla publiczności spotkaniach. Reżyserami są studenci IV roku Wydziału Reżyserii, którzy zapraszają do współpracy młodszych kolegów z Wydziału Aktorskiego. Na warsztaty przyjeżdżają też zapraszani przez Agencję Dramatu i Teatru autorzy tekstów. W założeniu wszyscy tu mają się od siebie wzajemnie uczyć - młodzi reżyserzy poznają genezę tekstów, inspiracje autorów, konteksty. Autorzy (także stosunkowo młodzi) mają okazję usłyszeć, niekiedy po raz pierwszy, swój tekst ze sceny i - być może - coś w nim zmienić.

Obejrzałem (wysłuchałem) *Ene due rike fake* Marzeny Matuszak w reżyserii Anny Morawiec i *Kosmonautów* Jarosława Jakubowskiego w reżyserii Mikołaja Szczęsnego. Anna Morawiec pracowała ze studentkami pierwszego i drugiego roku nad tekstem o traumatycznych doświadczeniach młodych kobiet, molestowanych w dzieciństwie. Był w tej realizacji autentyczny bunt i zadziorność (prowokacyjne wykorzystanie pieśni religijnych - trochę w stylu Marii Peszek), choć to, co widzieliśmy, to tylko robocza, bardzo wstępna wersja. Reżyserka, zapytana przeze mnie, czy praca w gronie 6 kobiet nad przedstawieniem przeciwko facetom, odpowiedziała, że to nie jest przeciwko facetom, tylko przeciw patriarchalnej wizji świata. Wypowiadając te słowa mimowolnie weszła o stopień wyżej (rozmawialiśmy na schodach). Niech i tak będzie - skuliłem się i zgarbiłem, pokonany.

Mikołaj Szczęsny postawił na bogatszą inscenizację. Aktorom, grającym dwie pary uwięzione w lejącym na kraniec kosmosie statku, kazał ogrywać sytuacje i rekwizyty, przemieszczać się po scenie, a nawet ścierać podłogę (uprzednio pokrytą uprzednio kredowymi rysunkami). Dzięki temu dużo się działo, także w drugim planie, tworzyły się jakieś dodatkowe znaczenia. Niestety, miało to też gorsze strony. Bo jak rzucać piłkę, gdy trzyma się w rękę plik kartek z tekstem? Poza tym tego rysowania kresą po podłodze w wykonaniu reżysera było za dużo, wyglądało to trochę jak eksponowanie swej demiurgicznej roli. Sztuka stawia interesujące pytania, ale autor trochę naiwnie przełożył je na konkretne sytuacje. Przełożył, a może nawet zilustrował konkretnymi scenami. Nie wróżę temu tekstowi wielkiej kariery na polskich scenach. Choć autor dużo pisze i teatry jego sztuki wystawiają. Właśnie ukazał się - promowany również na festiwalu - zbiór jego 11 sztuk.

A potem uległem *Szantażowi* Eweliny Marciniak. Autorem tekstu jest Marcin Cecko (pośrednio Elfriede Jelinek), występują studenci wrocławskiej PWST, ale wydaje się, że najważniejsza jest tu reżyserka - to jej spektakl, jej prowokacje, jej odpowiedzialność. Moim zdaniem młodzi aktorzy zostali tu użyci jak marionetki, wmontowani w mechanizm spektaklu. Wszystko zaczyna się od sceny na plaży (rozsypany na scenie piasek), w której ubrani jedynie w białą bieliznę aktorzy dość przypadkowo łączą się w pary i namiętnie całują. Ta panseksualna pantomima trwa przez jakiś czas,

powoli przechodząc w pokaz wzajemnej agresji przy fortepianowych improwizacjach. Ta scena jest skrótem spektaklu - o to w tym wszystkim chodzi: na plaży (pustyni) współczesnego świata obijamy się o siebie, to kopulując, to walcząc w dość przypadkowych układach. Dużo przy tym powstaje otarć - zarówno naskórka, jak i duszy. I to już koniec? Nie może być - trzeba to pokazać jeszcze raz, bardziej dosłownie, mocniej i nowocześniej. Reszta przedstawienia (czyli kolejne dwie godziny) to prawdziwy przegląd chwytów i sytuacji modnego dziś w teatrze nurtu - mamy przebieranki typu trans, stroboskopy, noise, nagość, emocjonalny szantaż wobec widza, który niepewnie odwraca wzrok, gdy nagi aktor jest w ramach psychicznych tortur zmuszany do onanizmu. Być może tak właśnie trzeba przygotować młodych aktorów do pracy, ale w *Szantażu* jest tego za dużo, za mocno i przede wszystkim - niczemu poza silnym emocjom to nie służy. Pokazanie panoszącego się na świecie (wśród młodzieży) zła nic nie daje widzowi. Żadnej odpowiedzi, żadnego katharsis. W dodatku obnażeni cielesnie i emocjonalnie aktorzy niewiele poza odwagą mogą w tym przedstawieniu pokazać. Gdy tak przez kilka minut stali przed nami nadzy, a ja siedziałem na widowni wśród dyrektorów teatrów i kierowników castingów, miałem wrażenie uczestniczenia w jakimś targu niewolników. Tak nie można. Z drugiej strony - podobno studenci sami bardzo chcieli tę właśnie reżyserkę, a chcącemu nie dzieje się krzywda. Co ciekawe: w folderze festiwalu spektakl jest "tylko dla widzów dorosłych", na stronie szkoły ma oznaczenie 16+.

A jednak były w tym przedstawieniu rzeczy ciekawe. Monolog z *Pieśni nad pieśniami* wygłaszany przez nagą aktorkę, która przesuwa po swoim ciele mikrofon, miał swoją siłę. Jeszcze lepsze były sceny z udziałem profesorów uczelni, którzy wcielili się w role rodziców bohaterów. Katarzyna Strączek gra matkę, ale w pewnym momencie zaczyna rozmawiać z pozostałymi aktorami jak wychowawczyni żegnająca swoją klasę. Każdemu mówi coś dobrego na dalszą drogę życia. Granica między życiem a teatrem zaciera się - przechodzić można w obie strony. To wnosi coś do samej sztuki, zwłaszcza na FST.

Wieczór przyniósł jeszcze *Beczkę prochu* - łódzki spektakl w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej. Mała Scena Teatru Studyjnego aż kipiała od emocji, bałkańskiej namiętności, zazdrości, agresji i... testosteronu. Bo złożona z kilku historii sztuka Dejana Dukovskiego opowiada o męskim świecie, w którym kobiety są tylko dodatkiem, przedmiotem zazdrości, narzędziem. Jak w walkach bokserskich, gdzie w przerwie między rundami po ringu przechadza się piękna hostessa z tabliczką informującą o numerze rundy. Ring jest głównym elementem scenografii, na nim toczą się pojedynki między bohaterami. W przerwach bokserska rozgrzewka w rytmie gorących bałkańskich melodii. Główne pojedynki toczą tu mężczyźni, kobiety głównie siedzą na ławeczce pod ścianą. Ale i tak młodym aktorkom udało się stworzyć przejmujące kreacje. Zuzanna Zielińska jako matka ukrywająca pod spódnicą syna, którego przyszli pobić bandyci pokazała niezwykle organiczną spójność słowa, ruchu, gestu i mimiki. Podskakując nad batem oprawcy, była jak samica walcząca o swoje młode. Równie przejmująca była Marianna Zydek w scenie gwałtu i - zwłaszcza - tragicznego pogodzenia się ze swoim zazdrosnym mężczyzną. Wstrząsające. Ale walki wieczoru stoczyli panowie - pochwalić trzeba właściwie wszystkich. Cezary Kołacz, Tomasz Marczyński, Piotr Choma i Kamil Wodka zmieniają się w kolejnych epizodach, by raz być pewnymi siebie agresorami, innym razem zastraszonymi ofiarami (największe przemiany przechodzi chyba Tomasz Marczyński, który raz jest skazanym na dożywocie więźniem, który rządzi w celi, by za chwilę grać zahukanego pierdółkę, który na plaży walczy z dmuchanym krokodylem - w obu rolach jest przekonujący). Piotr Choma potrafi oddać fizyczność kaleki przykutego do wózka, a jednocześnie zachować w tej postaci resztki dawnej dumy i bezwzględności sprzed wypadku (równie dobry jest w drugiej swojej roli - gnębionego przez szefa celi więźnia). Dialog Cezarego Kołacza i Kamila Wodka, grających przyjaciół, którzy dopuszczali się w stosunku do siebie małych i większych zdrad, jest ozdobą przedstawienia. Myślę, że w strukturze sztuki pełni też funkcje symboliczne - być może takimi przyjaciółmi są narody byłej Jugosławii. Rzecz dzieje się na Bałkanach, ale dotyczy zła rodzącego się między ludźmi we wszystkich zakątkach świata. Jesteśmy naładowani kompleksami, problemami, agresją i co jakiś

czas wybuchamy. Ale przedstawienie daje nadzieję. Ulubione krajobrazy rodzinnych stron, jedzenie i muzyka, śliwowica, a przede wszystkim miłość - to pozwala żyć mimo szaleństwa epoki. Życie jest silniejsze niż śmierć.

Czwartek 11 maja

Rano zacząłem spisywać te notatki. *Jubileuszowa edycja festiwalu doczekała się specjalnej oprawy w postaci setek balonów w foyer Teatru Nowego. Balony ładne, ale do wejścia trzeba było się przebijać przez płataninę sznurków. Może to metafora splątanych narracji współczesnego teatru?...* I tak dalej. Mógłbym tak dojść aż do słów *życie jest silniejsze niż śmierć*. Takie zapętlenie, z którego już byśmy nie wyszli - dobra metafora współczesnego teatru.

Ale wyszedłem z tego. Wyszedłem z domu i pojechałem na konferencję *Awangarda: przeszłość - terażniejszość - przyszłość. Klątwa na teatr?* Tytuł długi jak wstępne zagajenie pani profesor Krystyny Duniec. Za okrągłym stołem zasiadło czternaścioro panelistów, znawców teatru, literatury i filmu. Mieli dyskutować o awangardzie, ale ponieważ jest to termin nawet dla badaczy awangardy niejasny - pani profesor zaproponowała, by zająć się awangardową sztuką bałkańską, czym wprawiła dyskutantów w niejaką konsternację. W efekcie prawie każdy zaczynał swą wypowiedź od zaznaczenia, że wprawdzie nie jest specjalistą, ale... Prowadząca zresztą silnie ingerowała w ich wypowiedzi, trochę jakby prowadziła egzamin.

Ale nie przeczę - można się było wielu rzeczy dowiedzieć. Na przykład o wielkim wpływie polskiej sztuki (w tym teatru) na środowiska artystyczne Jugosławii. Kantor, Grotowski, Dejmek to były dla jugosłowiańskich twórców najważniejsze nazwiska, coś jak dla nas nowości z Zachodu. Można też było się dowiedzieć, że Polska (w ramach pomocy po wielkim trzęsieniu ziemi w 1963 roku) wybudowała w Skopje muzeum sztuki nowoczesnej. Gorzej nam idzie budowa takiego muzeum w Warszawie. I jeszcze myśl, którą wyartykułował Marcin Cecko, według którego o awangardowych działaniach dzisiaj i w przyszłości można mówić w perspektywie pozaludzkiej. To sztuka, która nie będzie tworzona przez człowieka. W przestrzeni internetowej są treści, które są dla nas nie do zrozumienia z powodu liczby przetwarzanych danych. Nasza percepcja jest do tego nieprzygotowana, ale odpowiednie algorytmy pozwalają generować z tych danych nawet sztukę (na razie nieudaną) - coś, co ktoś będzie mógł za sztukę uznać.

Pierwszym przedstawieniem była tego dnia *Miłość* Cezarego Ibera w reżyserii autora. Znów Wrocław i prawie taki sam początek: wokalista z gejowskiego klubu i pary na seansie szybkich randek. Grupa postaci, którzy wymieniają się (będą się wymieniać) partnerami - obdarzać uczuciem i ranić. Niestety, potem było gorzej. *Miłość* to przede wszystkim źle napisany tekst, schematyczny w swym pozornie nieoczywistym podejściu do tematyki uczuć, z koszmarnymi dialogami. I ta puenta: wszyscy mamy takie same serca. Być może, ale różne gusta. Ponieważ jednak szukamy raczej dobrych stron, to warto pochwalić układy choreograficzne. Czasami mówiły więcej niż źle poskładane i sztucznie wypowiedziane słowa.

No a potem zdarzyło się coś niesamowitego. Krakowskie ***Do dna*** w reżyserii Ewy Kaim to przedstawienie pod każdym względem oryginalne i jednocześnie perfekcyjne (rzadko idzie to w parze). Już sam pomysł, by zrobić dyplom z tradycyjnych pieśni ludowych, zebranych przez Oskara Kolberga, Henryka Gadomskiego i ks. Władysława Skierowskiego, wydaje się szalony. Równie szalona wydaje się trzyletnia praca nad spektaklem, etnograficzne wędrówki, nauka grania i śpiewu, poszukiwanie ciekawych aranżacji (trochę to przypomina działania grup folkowych w rodzaju Kapeli ze Wsi Warszawa). Szalone były nawet kostiumy - kolorowe serdaki z naszywkami adidasa i scenografia - metalowa szopa, której drzwi stawały się kolejnym instrumentem perkusyjnym. A co

powiedzieć o układach choreograficznych? Jeśli napiszę, że podczas śpiewania aktorzy udawali się albo że grali na bębnach ruchami kowali w kuźni - będzie się to wydawać banalne. Ale nie w tym przedstawieniu - tu ruch sceniczny był jednocześnie surowy, korzenny i zamaszysty, ale też nowoczesny jak współczesny balet.

Młodzi aktorzy doskonale śpiewają, także białym głosem, gwarą mówią wyraźniej niż niektórzy ich koledzy swoim własnym językiem, mają poczucie humoru i świetny kontakt z publicznością. Wokalnie poza konkurencją jest Weronika Kowalska (gra też znakomicie na skrzypkach), aktorsko - chyba największe wrażenie robi Łukasz Szczepanowski. Cały zespół jest zgrany jak zegarki udającego się na akcję zespołu komandosów. Największą jednak zaletą przedstawienia jest znalezienie odpowiedniego tonu, równowagi między subtelną ironią a fascynacją i sentymentem wobec tradycyjnych tekstów, melodii i systemu wartości. Te pieśni opowiadają o miłości, radości, pracy, głodzie, wojnie, śmierci. Podstawowe rzeczy, proste prawdy, siła autentyzmu. I szukanie w głąb, budowanie swojej wypowiedzi w dialogu z tradycją. Może to jest droga dla sztuki i dla nas wszystkich. Bo wbrew pozorom można ten spektakl odczytać też jako wypowiedź o współczesnej Polsce (mówił o tym dyrektor Piotr Kruszyński).

Do dna zdobyło trzy Ludwiki - krakowskie nagrody przyznawane przez środowisko ludzi teatru. W czwartek zdobyło też przez aklamację nagrodę tegorocznego FST. Czegoś takiego dawno nie widziałem w teatrze - wszyscy od razu wstali i przez wiele minut klaskali na stojąco. Były okrzyki i niebывały entuzjazm, mężczyźni rzucali na scenę portfele, kobiety - zdarte z siebie ubrania... No trochę przesadziłem. Ale niedużo.

Piątek 12 maja

I oto na początek kolejnego dnia spotkanie z jednym z bohaterów wczorajszego wieczoru. Na schodach Teatru Nowego zobaczyłem występującego w "Do dna" Jana Marczewskiego, zaczytanego w peanach, jakie pod adresem krakowskiego spektaklu napisano w gazecie festiwalowej "Tupot".

- Jakie wrażenia z festiwalu?

- *Jestem tu już drugi raz, na drugim roku graliśmy w dyplomach starszych kolegów (Niech żyje wojna, Na L...) i bardzo mi się tu podoba - możemy się spotkać i oglądać swoją pracę, a przy okazji lepiej się poznawać.*

- Ogląda pan wszystkie przedstawienia? Zawsze da się wejść?

- *Do tej pory wszedłem na wszystko, jak się nie dało drzwiami, to oknem. Nie chodzę tylko, gdy gramy albo mamy próbę.*

- A wieczory i ranki? Co robicie - zwiedzacie Łódź, łódzkie muzea?

- *Ja akurat w muzeum nie byłem, ale koledzy z roku się wybrali. Oczywiście zobaczyliśmy Piotrkowską, ale przedpołudnia raczej poświęcamy na relaks.*

- Przywieźliście z Krakowa trzy dyplomy, ale chyba wasz rok zrobił ich więcej. Kto wybierał repertuar na festiwal?

- *Władze uczelni. Chodziło o to, by każdy miał okazję się pokazać i byśmy wypadli jak najlepiej jako szkoła.*

- W "Do dna" akurat mało osób mogło się pokazać...

- *W naszej szkole jest taki system, że od pierwszego roku jesteśmy podzieleni na grupy i ten podział trwa do końca studiów. My jesteśmy grupą wokalno-aktorską. Wcześniej było nas siedmioro, od drugiego roku została nas piątka.*

- Macie świadomość wielkiego sukcesu? Czujecie się zwycięzcami?

- *Nie wiem, chodzi raczej o to, by dobrze się zaprezentować w naszym środowisku - to dużo robi dla spokoju psychicznego. Wszyscy ciężko pracujemy i chcemy, żeby dyplomy były odzwierciedleniem naszej czteroletniej pracy, ale nie zawsze tak się dzieje, niekiedy dyplom nie daje szansy aktorowi.*

- Długo pracowaliście nad "Do dna"?
- *Na drugim roku mieliśmy egzamin z przedmiotu piosenka i robiliśmy właśnie piosenki ludowe. Tak się spodobało to nasze zaliczenie, że władze uczelni zadecydowały, żeby na bazie tego robić dyplom. Z pierwszej wersji zostało jakieś 60%. Dzięki temu, że mieliśmy tak dużo czasu, to efekt jest, jaki jest. Dzięki temu też sama praca przebiegała w cudowny sposób.*
- Gracie gdzieś to przedstawienie?
- *Gramy w Krakowie w naszym teatrze repertuarowo. Szkoła chce, byśmy to grali także w przyszłym roku, a nawet później, gdy już nie będziemy studentami. Jeździmy też na festiwale, byliśmy w Brnie, zaprosili nas do Pragi, do Gruzji.*
- Będziecie ofiarą własnego sukcesu. Przez kilka lat zagracie tysiąc przedstawień.
- *Możliwe, ale to daje wielkie szczęście. Gdybym miał tysiąc razy zagrać "Mayday", to bym zwariował, ale to daje nam tyle radości, że chce się grać.*
- Słuchacie zespołów folkowych, na przykład Kapeli ze Wsi Warszawy? W waszym spektaklu były te same piosenki, co na ich płytach.
- *Nasze aranżacje robił Dawid Rudnicki, sami gramy na instrumentach, co jest chyba dodatkowym walorem tego spektaklu.*

Kończymy rozmowę, bo zaczyna się *Poczekalnia sześć-dwa-zero* - wrocławski dyplom w reżyserii Marka Fiedora. Co ciekawe, tekst Marty Guśniowskiej został wybrany w konkursie dramaturgicznym "Strefy kontaktu". A zatem sztuka współczesna, w dodatku - przynajmniej w założeniu - śmieszna. Guśniowska co prawda specjalizuje się w baśniach dla dzieci, ale jej lekko absurdalne historie połączone motywem tytułowej poczekalni mają wiele uroku i językowej lekkości, przemyślając przy okazji może nie bardzo wyrafinowaną, ale mądrą refleksję: wszyscy na coś czekamy, a życie mija. Czekając, aż uciążliwy sąsiad skończy remont, możemy przegapić swoje pięć minut. Bezpretensjonalny spektakl pokazujący w krzywym zwierciadle spotykane na co dzień zjawiska i typy ludzkie. Świetna scena w modnej restauracji, uroczą rolę Igora Kowalunasa jako emerytowanego nauczyciela, dobre tempo przedstawienia, które trwało dokładnie tyle, ile potrzeba - to plusy. Mały minus za kiepsko dobraną muzykę - to na pewno nie było przedstawienie punkowe. Centralę Brygady Kryzys można było zaśpiewać w nowej aranżacji, zamiast puszczać z taśmy.

Z poczekalnią śmieszna sprawa - w tekście sztuki jest dialog oparty na dosłownym rozumieniu znaczenia słów. Nie może pan tu zaczekać, bo tu jest poczekalnia, a nie zaczekalnia. Festiwalowy klub nazywał się Przechowalnia, a najbliższym z teatru było do knajpki o nazwie Poczekalnia. W Przechowalni przechowywali się studenci raczej, w Poczekalni prędzej można było spotkać festiwalowych gości. Ceny porównywalne.

Wieczorem obejrzałem *Wspomnienia polskie* studentów z Krakowa. Gombrowicz Mikołaja Grabowskiego przypomina trochę Kitowicza Mikołaja Grabowskiego (genialne *Opisy obyczajów*). Nie dziwota - ziemiaństwo nasze z sarmackiego ducha zrodzone. Czy kogoś dzisiaj obchodzi ziemiaństwo? Raczej mieszczaństwo i klasa średnia, ale mechanizm krytycznej obserwacji wciąż jest aktualny. Kluczowy dla Gombrowicza problem formy i charakterystyczny ton "pamiętnika z okresu dojrzewania" w sam raz na studenckie przedstawienie. Scenografia i kostiumy może trochę zbyt grzeczne. Jeżeli dziesiątka aktorów, na których reżyser rozpisał postać narratora-Gombrowicza, miała ukazać różne aspekty jego osobowości, to powinni się mocniej różnić wyglądem, sposobem zachowania. Paulina Kondrak i Marcin Sztendel to moi kandydaci do wyróżnień, ale cały zespół pokazał dużą kulturę aktorską i dobre rzemiosło.

Sobota 13 maja

Nieoczekiwanie ważnym punktem dnia stała się poranna dyskusja w klubie Lokal. Dwoje jurorów

(Anna Augustynowicz i Adam Orzechowski) byli gośćmi transmitowanego przez Radio Łódź "Śniadania awangardowego". Z Tomaszem Rodowiczem (Teatr Chorea) dyskutowali o awangardzie, teatralnych modach, zacieraniu się granicy między teatrem offowym i tradycyjnym, o nieuleganiu ideologii. Ważnym wątkiem rozmowy okazał się temat kształcenia aktorów.

Anna Augustynowicz uznała festiwal za bardzo ciekawy, gdyż można tu doświadczyć wielu nurtów współczesnego teatru. W części przedstawień twórcy używają języka nieomal offowego, w innych możemy zobaczyć tradycyjny warsztat, wykorzystany do przekazania współczesnych treści. Tomasz Rodowicz opowiedział o zdziwieniu zagranicznych gości, którzy pytają o nauczanie w Polsce metod Grotowskiego czy Kantora i dowiadują się, że nigdzie. Stwierdził, że szkoły teatralne nie nadążają z programem za przemianami teatru. nadal osobno uczą interpretacji tekstu, osobno ruchu, osobno impostacji, a dziś w teatrze wymaga się od aktora całościowego, organicznego funkcjonowania przez fizyczność. Tej umiejętności łączenia różnych umiejętności w organiczną całość młodym aktorom brakuje. Anna Augustynowicz przypomniała, że sens szkoły nie polega na uczeniu technologii, ale na wyposażeniu adepta w umiejętność indywidualnego patrzenia na rzeczywistość. Ujrzyć rzeczy inaczej, po swojemu - dopiero za tym idą narzędzia. Jej zdaniem z Grotowskiego czy Kantora nie można zrobić technologii i uczyć, jak ich naśladować. Adam Orzechowski bronił kształcenia umiejętności warsztatowych. To, czy aktor umie mówić, ruszać się, to są podstawowe sprawy. Tu zgodzono się, że szkoła musi przygotować rzemieślników, ale to jeszcze nie będą artyści. Część aktorów zresztą wcale nie chce być artystą, chce po prostu pracować w reklamie, dubbingu itp.

Icoidi Mai Kleczewskiej to spektakl oparty na motywach filmów Larsa von Triera, głównie na *Idiotach*. Zapisanie tytułowego sowa od tyłu przypomina o udawaniu przez grupę bohaterów niepełnosprawnych umysłowo, ale też stawia pytanie, kto jest normalny, a kto tylko udaje. Spektakl miał stawiać widzów w niewygodnej sytuacji (atakowani przez aktorów już w foyer, potem wciągani w charytatywną akcję kupowania przygotowanych przez niepełnosprawnych prac plastycznych), ale ten zamysł nie do końca się powiódł. W atmosferze festiwalu te gesty nie zadziałały, były raczej poczciwe niż prowokacyjne. Udał się za to chwyt z wyciąganiem na scenę ludzi z publiczności - podstawiona aktorka tak dobrze grała zdeprymowaną "ofiara", że długo nie byłem pewny, czy jest członkiem zespołu. To w ogóle ciekawe, jak forma łączy się w tym przedstawieniu z treścią. Kleczewska przenosi do teatru filmy von Triera, by pokazywać je z wykorzystaniem środków filmowych (projekcje, zbliżenia twarzy aktorów). Granica między filmem a teatrem się zaciera, podobnie jak granica między życiem a fikcją, światem niepełnosprawnych i światem normalnych. To świetnie funkcjonuje na poziomie zabiegów formalnych, gorzej z aluzjami do (łódzkiej) rzeczywistości - zarzut padający z ust jednego z bohaterów, że przeniesienie ośrodka na Bałuty to faszyzm, jest idiotyczny. Trudno udawać idiotę, jeszcze trudniej udawać kogoś, kto udaje idiotę. Dominika Kachlik, Milena Olchowska, Marta Wągrocka i Aleksander Milicevic zdali ten trudny egzamin na piątkę.

Niedziela 14 maja

Uroczystość wręczenia nagród rozpoczęła się od spektaklu studentów Wydziału Lalkarskiego z Wrocławia. Znakomita rzecz, która potwierdza słusność zapraszania lalkarzy na festiwal. Publiczność śmiechem i oklaskami reagowała na pojawiające się na scenie postaci - kostiumy i maski autorstwa Elżbiety Terlikowskiej. Warstwa plastyczna przedstawienia była genialna. Królik na szczudłach, Gąsiennica z wydłużającą się szyją, Humpty-Dumpty zamknięty w wielkim jajku, przerośnięta Mysz i wiele innych kolorowych, dowcipnie przedstawionych postaci. Dominuje konwencja maskowa, ale młodzi aktorzy animują nawet pantofle w kształcie myszek. Doskonale rozwiązano sceny rosnącej lub zmniejszającej się Alicji. Alicję gra po kolei pięć aktorek, przy czym

niekiedy pojawiają się na scenie jednocześnie. Ten zabieg nie tylko pozwala zagrać w dyplomie większej liczbie studentek, ale koresponduje też z tematem sztuki - przemiana, problemy z pytaniem, kim się właściwie jest.

Potem pokazany został film przypominający najciekawsze momenty festiwalu, potem były podziękowania i mądre, zwięzłe przemówienia rektorów. *Sensem życia jest mnożenie życzliwości między ludźmi* - Dorota Segda zacytowała zmarłego niedawno prof. Wiktora Osiatyńskiego. Czy sensem FST także? A potem już były nagrody (laureatów wymieniamy w osobnym tekście). Piękna była radość laureatów, ale jeszcze piękniejsza była autentyczna radość z nagród, które dostają koledzy. I to nie tylko koledzy z tej samej uczelni.

Na zakończenie rozmowa z Dominiką Kachlik, która zdobyła nagrodę wytwórni Opus Film. Nagroda przyznawana jest aktorom, *których chcielibyśmy oglądać na ekranie telewizyjnym i filmowym*. Tak, chcielibyśmy oglądać Dominikę.

- Zagrała pani w dwóch przedstawieniach dyplomowych - "Pibloktoq" i "Icoidi". Który z nich jest dla pani ważniejszy?

- *Cieężko mi je porównać, bo to zupełnie inny teatr. Teatr Wojciecha Kościelniaka to teatr muzyczny, bardzo precyzyjny, ale dający dużą przestrzeń aktorowi. Natomiast u Mai Kleczewskiej wychodziliśmy z improwizacji i na improwizacji w pewnym sensie się też skończyło, bo każdy spektakl wygląda inaczej. Obie role są dla mnie ważne, jestem szczęśliwa, że mogłam spróbować i tego, i tego.*

- Gdzie było trudniej?

- *Wydaje mi się, że bardziej złożona była rola Bess w "Icoidi".*

- Zna pani na pamięć ten "swój" film von Triera?

- *Na pamięć to może nie, ale praca rozpoczęła się od oglądania i rozmowy na temat filmu.*

Oczywiście film miał być podstawą, ale nie chodziło o naśladowanie, a o reinterpretację.

Zostawialiśmy sobie pole na pewne sceniczne działania. Ja bardzo chciałam zagrać Bess, od początku, mogliśmy sobie wybrać postaci - Maja była zainteresowana tym, co nas porusza.

- Czemu akurat Bess z "Przełamując fale"?

- *Bo podoba mi się ujęcie tematu miłości, która jest prawdziwa. Jest chora, sprowadzona do sytuacji granicznych, ale jest miłością. Chciałam się z tym zmierzyć.*

- Zgadza się pani z werdyktem jury?

- *Tak, uważam, że zespołowi z "Do dna" jak najbardziej się to należało. Coś niesamowitego, jak ogromna pasję i serce wnieśli w ten spektakl. Biła od nich taka czysta energia, rzadko dziś spotykana w teatrze.*

- Co to znaczy "czysta energia"?

- *Czysta, czyli jeszcze nieskażona jakąś manierą czy zarozumiałstwem. Ta grupa ludzi jest świetna technicznie, z ogromnym temperamentem. No i ten śpiew ludowy podbijał ten efekt czystości, nieskażenia.*

- Była pani przez cały ten tydzień w Łodzi?

- *Tak zależało mi na tym, żeby przeżyć tu cały festiwal i bardzo się cieszę, że tak wyszło. Poczułam się częścią tej przygody, grałam, oglądałam spektakle, wieczorem integracja.*

- A miasto jak się pani podoba?

- *Ma ciekawą energię, momentami przypomina mi Kraków - ja pochodzę z Krakowa. Czułam się tutaj swojsko.*

- Z Krakowa, a studiuje pani w Warszawie?

- *Uznałam, że wyjazd do Warszawy dobrze mi zrobi, usamodzielnę się. W Krakowie można się zasiedzieć, tam się dobrze żyje, mieszka, ale Kraków trochę zamyka. Nie żałuję tej decyzji. Każda szkoła ma swoje mocne strony, ale pewna przewaga Warszawy jest fakt, że tam się wiele dzieje. Ja mam castingi na miejscu.*

- Dostała pani nagrodę studia filmowego...

- Bardzo się cieszę, może rzeczywiście uda się pojawić na ekranie. Na razie działam bardziej w teatrze. Nie myślałam o nagrodach, nie nastawiałam się. Ja przyjechałam tutaj zobaczyć innych ludzi, zobaczyć siebie na tle innych ludzi.

- I jak pokazaliście się na tle innych?

- Wydaje mi się, że wypadliśmy dobrze.

Dobrze wypadł cały festiwal. W ostatnim akapicie chciałbym podkreślić dobrą organizację imprezy i podziękować ekipie Szkoły Filmowej i Teatru Nowego za ten tydzień. Ja miałem wiele miłych wrażeń, ale musiało na to ciężko pracować wiele osób.

Piotr Grobliński